№. 1. 5. Stycznia 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie „**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**"

Rok 1849 w jasełkach.

„Napisz do pierwszego numeru na rok 1850 jaki lekki wstępny artykuł" powiedział mi szanowny redaktor w owej błogiej godzinie, kiedy mnie zapładniał myślą pisania do niniejszego pisma.

Trapiłem się odtąd myślą zaczęcia pierwszego numeru, — niepomny, nato że nakładca dopiero podał o koncessję wydawania; — jak gdybym już jutro miał dać do druku.

Wy niewiécie Szanowni, co to jest redaktor lub też współpracownik ciężarny myślą o wstępnym artykule. Jestto więcej niż ministerjalny program: bo nietylko muszę coś przyrzec, czego dotrzymać nie myślę; ale muszę coś dotrzymać, czegom nieprzyrzekał, t. j. muszę was zabawić.

Chodziłem tedy zamyślony po ulicach, w tym samym humorze w jakim byłem po owej katastrofie, kiedy moja kochanka powiedziała mi, z półszyderczą pół-czułą minką:

„Pan jesteś poeta, a poeci wszyscy niewierni."

Odtąd zarzekłem się wprawdzie, że nigdy poetą nie będę — to jeden z wielu projektów podobno, który mi się udał. Jednak dzisiaj robię wyjątek, bo jeżeli podług siły urojenia mierzyć się ma talent poetyczny, to jestem niepospolitym poetą. Roję sobie bowiem, że nasze pismo będzie miało przynajmniej tyle czytelników, ile niejeden dziennik francuzki ma współpracowników*).

Otóż wracam do rzeczy.

Szukając przedmiotu na pierwszy artykuł, zaszedłem do redaktora. On mnie powitał okrzykiem: Jest artykuł?

Ja za całą odpowiedź zawołałem:

Daj mi fantazji! — Inni pisząc pierwsze artykuły lubią jakieś wprowadzać widzenia, jakieś historje duchów: — ja tego niechcę — niechcę tej powszedniej nadzwyczajności.

Więc ja postaram ci się o nadzwyczajną powszedność, odrzekł redaktor. Wiem ci ja, że na fantazję najlepsze jest złoto, ale niemając tego dam ci rzecz jak złoto.

I zrobiwszy przedziwny poncz zaczął mię poić.

Już zaczynałem popadać w marzenia, już różne nie wyraźne widma snuć mi się zaczęły; gdy nagle zawołał redaktor: —

Przyprowadzam ci jasełka.

Weszło kilku zasmulanych szewczyków, i postawili swoje *dziwadło* przedemną, pozaświecali swieczki, i rozpoczęli swój *dramat dziejowy.* — z razu nieuważałem na nic, tylko mi zapach smoły dokuczał tak, iż zawołałem:

Czyś wy z piekła przyszli, że was tak czuć smołą? — Odpowiadając na to zaśpiewali szewczyki:

A Józef święty rzekł z furją
Idź precz szewcze. . .

„Więc i to dziejowe" — rzekłem sobie, a rzuciwszy okiem od niechcenia na jasełka, ujrzałem coś nakształt arcybiskupiego pałacu, (ale nie we Lwowie) i tam ugrupowane mnóstwo figurek drobnych jak mak. Byli między niemi i wodzowie, i ministrowie, a wszystko to było przyćmione jakimś dziwnym cieniem. Spojrzałem wyżej, aż oto widzę nad tą garstką maku panuje człowiek na tronie, tak się mający do tych maczków, jak orzeł do wróbli. U szlachetnej twarzy jego wisiały, czyli raczej

*) Przepraszam niektórych literatów, proszonych o współpracownictwo, za tę poufałość: że to pismo w którym i ja piszę nazywam naszem.

sterczały, dwa ogromne wąsy, i rzucały, jak dwie miotły boże, groźny cień na te maczki pod nim.—

Cóż to, czyto król Herod może?

Czyż to go pan nieznasz, rzekł osmolony dyrektor jasełek — tać to sejm, a ten wielki to Prezydent.

Znowu się odwróciłem, aż dopóki niezwrócił uwagi mojej spiew donośny i krzyk szewczyków:

— Król Salamon, król Salamon!

W samej rzeczy przedstawiał się *król Salamon* z całą królewską okazałością i spiewał po polsku swoją wielką „*Pieśń nad pieśni*" w sposób znamionujący niepospolitego piewcę: chociaż miał młodziuchną twarzyczkę i cienki jeszcze głos. W głębi widać było Jerozolimę a nad Jerozolimą nocne niebo z jedną gwiazdeczką.

Dla czegoż tylko jedna gwiazdka, zapytałem.

Bądź pan kontent, odrzekł gniewnie szewczyk, że i ta jedna jest; a drugi dodał całkiem sucho:

Niebyło miejsca na więcej; nasze niebo zamałe a na powiększenie jeszcze czasu niebyło.

Ha! więc trzeba się kontentować choć jedną gwiazdką.

Wtem grzmot jasełkowy przerwał mowę, i Jerozolima runęła w gruzy, — a z piewcy Salamona stał się *Jeremi*. Jeremi spiewał, póki się niebo nieotworzyło; wtedy wzniósł się wobłoki przemieniając się wskrzydlatego aniołka, który spuszczał na ziemię kwiaty i liście.

Tymczasem się niebo na nowo zamknęło i znowu tylko jedna gwiazdka błyszczała; a Jeremi aniołek poszedł za kulisy: ja zdjęty ciekawością zajrzałem i widziałem, że się przebierał w *Samsona*.

Więc dobra nadzieja.

Dalej zabłysła wpromieniach owej gwiazdki zbroja króla Jana, który kroczył z bohaterską wspaniałością ku tumowi Sgo Szczepana — trochę zadumany i marzący, ale zawsze wspaniały: szedł — dziwny koncept moich szewczyków — w towarzystwie jakiegoś meżczyzny w dzisiejszym stroju z książką pod pachą, na której czytałem napis: „Pierwsze odrodzenie". . . . . . Przed drzwiami tumu stanąwszy, wszedł król Jan smutny i dumny do wnętrza: a jego towarzysz poszedł dalej oświetlony promieniem gwiazdki.

Wtedy spuścił się po gwiazdki promykach, orszakiem dumek otoczony, a bohaterow Igorowych za sobą zostawiający, mąż z jasnym wejrzeniem unosząc wręku z lekkością ogromy kronik. Przechodząc przez jasełkową scenę opuścił z rąk jakiś stary rękopism; duchy zaś pokazywały w dali księgę z jaśniejącym napisem: „Dzieje polski starożytnej."

Całe zjawisko zostało pokryte jasnym obłokiem, z którego po długiém miganiu się różnych swiatełek, wyszedł poważnej postawy, w białej szacie i ogniem fantastyczności w spojrzeniu — Bramin; za Braminem zaś ukrywał się w pstrej szacie Arlekin. Ten trzymał w ręku zwój papierów, na których różne dziwolągi były pomalowane i litery popisane. Ja dojrzałem tylko niektórych głosek n. p: P — r — f zna, na innych znowu: S. . m Rak . . . . . —

I tak daléj i. t. d., szereg długi jak duchów w Makbecie — to w zbrojach, to w robach, w ornatach i kobiécych strojach; były piękne i wielkie, — były tam brzydkie i małe, nawet aż nadto — i jeszcze większe, i jeszcze piękniejsze: dużo o tém gadać, ja te opisałem co najbliżej stały, gdybym wszystkie opisał, byłby foljał cały.

Tylko jednego jeszcze, bo nad nim szewczyki płakali a z płaczem śpiewali:

*) Siedzibo szewców! w twoje to wieczory
Łącząc ramiona w upojeniu złotém?
W nowe swiat stary wpychaliśmy tory,
Powiédz mój bracie — czy pamiętasz o tem.

Spojrzałem: - istna trupia głowa skórą obleczona, i dwa węgle — nie — dwie gwiazdy ogniste jaśnieją w jego głowie: a na głowie — przebog! — rogatywka na głowie.

To nasz legionista! — krzyknąłem.

On przyznając kiwnął głową i dał znak milczenia, a potem z grobu piersi swojej zanucił: „*Requiem staremu swiatu*"; ja wtorowałem mu aż do słów:

**) Moja matka — szubienica,
Moim ojcem — ból i krzyż,
Moje imie jest — szubiennik:

*) **) Pisma Karola Balińskiego.

i straciłem wszystko z oczu, padłem w krzesło niewiedząc co się zemną dzieje.

Byłbym się może nie ocucił, gdyby nie gwiazdeczka.

Cud nad cudy! — gwiazdeczka spiewać zaczęła; a jej promyki tańczyły. Spiewała na znajomą narodową nótę — ale jak — tego opisać nieumiem; lecz niech wam taniec promyków będzie obrazem jej śpiewu. Promyki gwiazdy to się rozsypywały na niezliczoność promieni, jak słonecznych promieni koło w największym blasku; to znowu splatając się w liniach falowatych spadały, jak rozpuszczony złocisty warkocz pokutującej dziewicy. To znowu drgając i migając, jak włos rozpaczającej na wszystkie wichry puszczony — plątały się między sobą w zygzaki, a roznieciwszy się jak płomień olbrzymiego pożaru pałały na całem niebie: potém znowu skupiwszy się w mały płomyk, jakby gasnącej pochodni gieniusza śmierci, spadały nareszcie w krwawo ognistych łzach na ziemię. A z tych łez powstały ogniste jaśniejące słupy, i rozszerzał się na niebie uroczy blask, jakby od zorzy północnéj, podobnej w swym kształcie do olbrzymiej i wspaniałej świątyni. Nakoniec za mignieniem jakiejś ręki zmieniło się wszystko na powrót w pierwotną gwiazdkę, która uwisła jak iskra nadziei u stropu ciemnego nieba. To wszystko co widziałem było oddane w tonach, smyczkiem Felixa *) wydobytych.

Ledwie gwiazdka stanęła, chciałem wstać i odejść gniewając się sam na siebie, żem się przez proste jasełka tak dał omamić: ale ktoś mię schwycił za ramię i zawołał: „Stój, jeszcze kolęda przyjdzie.“

Eh! już słyszałem kolędę! odrzekłem wzbraniając się; ale silniej niż jakakolwiek ręka wtłoczyła mię w krzesło — harmonia gromów.

Jak Felix promieniami gwiazdy, tak igrał gromami i prostemi ludu uczuciami, tak igrał chórami aniołów i tłumnem kolędowaniem pastuszków — Marceli grając: *W żłobie leży.* **) Złożył on jeden akord z wiary dziewiętnastu wieków i nauki ostatniego z nich; a drugi z prostoty dziecięcej ludu, i zapału posłanników bożych.

*) Felix Lipiński.

**) Marceli Madejski.

Marceli jeszcze nie skończył, ale i to co grał miało swój początek i koniec.

Jasełka zamknięto, a ja odpowiedziałem redaktorowi na pytanie, którym mnie przywitał:

Jest artykuł.

Bibuła.

USTĘP Z POWIEŚCI „KOLEJE ŻYCIA“,

z części pierwszej pod tytułem:

STUDENCI.

Jeżeli to prawda co ktoś raz powiedział, że wiek dziecięcia jest snem proroczym całego życia, tedy myślę że nieskłamię, jeżeli powiem, że życie chłopca i dziewczyny, wyrostków a zwłaszcza studentów jest miniaturą światowego życia.

Śmieszno nam dziś gdy sobie przypominamy, jakie drobnostki nas jako studentów uszczęśliwiały lub zasmucały: a niejedenby zamieniał dzisiejsze szczęście za niedolę studenta. Tym czasem zapewnie w innem życiu, jeżeli będziemy w stanie czynić rozpamiętywania o naszém życiu dzisiejszém — całe to życie wyda nam się jak się teraz wydaje życie studenta — bo jesteśmy całe życie tylko studentami.

Dla tego myślę, że niepotrzebuję się tłumaczyć z tego, iż dzieje moich bohaterów zaczynam od życia studenckiego. Myślę także iż to dziwić nikogo niepowinno, że za najgłówniejszego bohatera w kolejach życia studenckiego uważam siebie samego: za to niebędę się czytelnikom w dalszych kolejach naprzykrzał — bo — przyznać się muszę, że dziś niejestem bynajmniej bohaterem.

I.

Szkoła.

Otóż byłem studentem. Ale w przód jeszcze do dziewiątego roku życia zostawałem w domu. To się rozumie, żem się niczego nieuczył, bawiłem się, biegałem na wyścigi, i biłem się z wiejskiemi chłopcami, jezdziłem na broniakach, kąpałem się razem z kaczkami, łaziłem po drzewach, i pomagałem kraść owoce w ogrodzie mego ojca.

Naraz oświadczono mi, że pojadę z ojcem do miasta, i spakowano moje manatki, matka żegnała mnie z płaczem i ja płakałem; właściwie niewiem dla

czego, bo wyjazdem do miasta cieszyłem się; nieumiałem sobie zdać sprawy z mego żalu w ówczas; i dziś gdy pomyślę nad tém, muszę powiedzieć to samo co wtedy odpowiedziałem na pytanie „czego płaczę“— bo matka płakała.

Umieszczono mię „na stancyi“ u pani Słoninowej. Tak opuściłem pierwszy raz raj domowego pożycia — nieprzeczuwałem jak wiele tracę. Odtąd bywałem tylko gościem w domu.

U pani Słoninowej było ze mną jeszcze kilku rowienników i starszych odemnie. Wspólne mieszkanie, wspólny wikt, wspólny pan dyrektór, nauki i pustoty, wspólne też plagi ze strony tego pana dyrektora, który się nazywał Drypuszyński: wszystkie te wspólności spowodowały w krótce zawiązanie ścisłej koleżeńskiej przyjaźni między nami. Jeden drugiemu pomagał do brojenia, a gdy przyszło odpowiadać za to cośmy nabroili, składał jeden na drugiego. Pan Drypuszyński gdy się w swoich śledztwach w takie wplątał zagmatwanie, zwykle przecinał węzeł gordyjski t. j. uznawał wszystkich winnymi. Tak było w domu— w szkole mało co inaczéj.

Pomijamy tu, dla braku miejsca skreślenie życia szkolnego i przedstawienie metody uczenia i wychowania w szkołach tak zwanych normalnych i pierwszych klasach gimnazyalnych: tylko wyjmujemy co z dalszym tokiem niniejszego wyjątku jest w najbliższej styczności, t.j. że do najścisléjszych znajomości opowiadającego należał Józio, i przystępujemy do wakacyi.—

Józio jezdził ze mną na wakacye.

Cieszyłem się bardzo, że będę miał na wsi towarzysza moich wakacyjnych rozrywek. Jednak bardzo się zawiodłem. Józio nigdy w życiu nie siedział na koniu, prawie nigdy nie biegał, polować nie lubił; ale się cieszył ogrodem, zielonością trawy, lasem, strumykiem; był cichy, spokojny i wysiadywał po całych dniach w domu. Co Józio w domu robił, tego z razu nie wiedziałem, bo ja spędzałem jak dawniej, całe dnie z fuzyą na plecach w lesie. Uważałem tylko z opowiadań sióstr moich i pani de la Laiterie, guwernantki, że musiał wiele z siostrami i pannami bawiącemi w domu rodziców moich obcować.

Obcowanie Józia ze starszemi znacznie mię odstręczyło od niego, bo dla mnie wszystkie starsze osoby, a właściwie wszystko co nie było studentem, dzieliło się w moim studenckim rozumie na trzy główne kategorje: na „starych“ t. j. ludzi różniących się tylko stopniowo od moich rodziców. Dla tych czułem mniej lub więcej uszanowania, mniej lub więcej przywiązania, i oznaczałem tę klassę ludzi przez to, że ich, jeżeli niebyli zbyt cudzymi, w rękę całowałem. Tu należały rozmaite ciocie, wujanki, stryjanki, babunie, nareszcie niektóre przyjaciółki mojej matki, równie jak męzki rodzaj tej samej klasy. Druga kategorja, której nielubiałem ale się jéj bałem, byli „belfery“ podług studenckiej nomenklatury; tu należeli różni nauczyciele, dyrektorowie, guwernery, guwernantki moich kolegów szkolnych i rówienników lub rówienniczek, nareszcie wszyscy, którzy, choć niepowołani do tego, rościli sobie prawo uważania na dzieci, upominania ich lub całe karcenia. Tym lubiłem, jeżeli się udało niepostrzeżenie albo bezkarnie, spłatać jakiego figla, zrobić jaką psotę: ale wszelkie strofowania i karcenia od nich przyjmowałem z tą rezygnacyą, z jaką się zbrodzień poddaje dosięgającej go ręce sprawiedliwości publicznéj.

Do trzeciej nareszcie kategoryi należeli tak zwani „goście“ t. j. ludzie zupełnie obojętni dla mnie, z którémi nie wchodziłem w żadne styczności. Jednak łatwo było z kategoryi gościa przejść w nienawistną kategoryę „belferów“ albo w szanowną „starych“.

Prócz tego dzieliłem ludzi na służących, żydów, chłopów i studentów, bez różnicy płci. Dziewczęta w moim lub mało się odemnie różniącym wieku, uważałem także za studentów, i za obowiązanych do tych samych uciech i zmartwień, których ja doznawałem. Z tego powodu obrażałem nieraz panieński punkt honoru moich sióstr, przestrzegając je, że za to lub owo mogą plagi dostać. I nigdy niewierzyłem, aby mógł być „belfer“ lub „belferka“ którzy nie biją, a „studenci“ lub „studentki“ które niebywają bite.

Zapatrując się tak na świat nie widziałem wiele rzeczy, które się działy około mnie i pod moim okiem. Ja znajdywałem tylko, że Józio stawał się

coraz więcéj cudzym dla mnie, coraz mniéj studentem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zemfiryna.

PIEŚŃ PIERWSZA.

Oh meraviglia! amor ch'appena è nato,
Già grande vola, e già trionfa armato.
Tasso.

I.

Nim przewartuję kronik grube pliki,
Nim gęśl nastroję, by śpiewać na sławę;
W chwilach natchnienia rzucam pamiętniki,
I myśl jak konia puszczam na otawę;
A słowa płyną — ja zbieram je w szyki,
I — jak w kolumnę, do frontu w oktawę
Ustawiam — teraz, by nie tracić czasu,
Marsz! od prawego — stępo — do Parnasu!

II.

Co mi tam, dawne gdzieś zamierzchłe wieki
Zamczyska, grody, a boje wciąż boje!
Po latach wielu, gdzieś w ciszy pasieki
Usiędę stary — i gęśl mą nastroję —
I o nich brzęknę. — Dziś czas niedaleki
Wywołam w pieśni — Was o bóstwa moje!
Gwiazdy salonów! wy pieśniami memi!
Słodsze nad pieśni! — — — —

III.

Wieleż poezyi w tym blasku i woni!!
Ileż słodyczy w perłowej rozmowie!!
Słowa tam — fale na srebrnej wód toni
Płyną a błyszczą — i nic się nie powie. —
Spiew nocny słowików tak lubo nie dzwoni,
Choć wtórzy mu dzikie, kwieciste pustkowie,
Jak nasze szczebiotki, bez-pióre słowiki! —
Cóż, w taniec gdy wioną pod czarem muzyki?

IV.

Jak fala za falą po modrej głębinie,
Jak motyl z motylem przez pola i błonie,
Tak para za parą, tak leci i płynie,
Tak serce przy sercu, i w dłoni drzą dłonie —
Owiany w pół wstęgą, co z ramion jej płynie
Woń piję, woń kwiecia co zdobi jej skronie.....
O! lubo tak razem! — tak blisko przy sobie!
O! lubo tak pląsać — chociażby po grobie!!

V.

O! lubie was jasne, tęczowe motyle,
W powiewnym polocie przy dzwiękach muzyki!
Bo tyle tam krasy — i wdzięku tam tyle,
Żem pląsać gotowy, ja puszczy syn dziki!
Nieumiem — to prawda — a byłoby mile
Tak lecić w objęciu! — choć jakieś znów krzyki
Wciąż huczą za nami, i w uszy nam brzęczą:
— — — — — — — — — —

VI.

O piękne motyle! ja lubie spojrzeniem
Was gonić w polocie — i włosów tych sploty,
I spojrzeń tych urok, co pali płomieniem;
I wszystkie ust krasy, słodycze,.. pieszczoty,...
Malują się w sercu — a gniotą kamieniem —
Ja lubie się patrzyć na nóżek poloty —
Och! nóżki malutkie, powiewne, polotne —
Wciąż marzą się potem w godziny samotne!

VII.

Coś dużom nagadał — a niema powieści —
Więc zacznę: „Nad Pełtwy błękitnej brzegami.....
(Lecz przyznam się bracia w ogromnej boleści —
Że Pełtwa swą prozą powiastkę mi plami,
A trzeba koniecznie dla wdzięku i treści,
By strumień gdzieś mruczał srébrnemi falami,
By brzęczał po zwirze, wiał wietrzyk majowy,
I księżyc pilnował kochanków rozmowy.)

VIII.

Więc wieczór — tam Pełtwa miłośnie szemrząca,
Tam księżyc wstał blady, i płynie promienny,
I płynie po niebie i chmurki potrąca,
Nad ziemią mrok leży, marzący, półsenny....
W ogrodzie w altanie, półsenna, marząca,
A młoda, jak wiosny najpierwszy świt dzienny,
A piękna, jak kwiatek, usiadła dziewczyna —
Cóż myśli?! — dziś roczek szesnasty zaczyna.

IX.

Co myśli? co marzy młodziuchna pieszczotka,
Wieczorkiem, śród ciszy, milcząca a sama!
Rozpowiem — choć przeklnie nie jedna mię ciotka,
(Rozumie się panna) — rozgniewa się mama....
Kochanek — kochanie — najpierwsza tam zwrotka,
Z *fis mol* się zaczyna — lecz jeszcze to gama!
Pan młody, wesele, o graj w to — to nuta!
Z tych tonów pieśń marzeń dziewicy osnuta.

X.

Nie dziwię się wcale, gdy mama nadobna
Lat córki nieliczy — i swoich nie liczy! —
A ciągle powtarza, by chwila sposobna:
„To dziécię — do książki“ — o tyle słodyczy
I myśli w tych słowach, że każde z osobna
Głęboką ma wartość — lecz pomysł zwodniczy
Dla młodych panienek maleńką torturką!
Bo mama na balach, zapewne nie z córką!

XI.

Lecz ciotki, te ciotki! dojrzałe dziewice,
Przebaczcie! — ja wierzę — że lata wam młode
Rocznica urodzin, jak bemol w muzyce
Zawraca dla wdzięku — że wieczną urodę
Nieszpecą pożółkłe marszczące się lice,
Jam gotów was kochać — (Ofiaro!) na zgodę.—
To piszę — o wierzcie! w okrótnej boleści,
Lecz trzeba mi ciotki — dla intryg w powieści.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Chopin — Słowacki.

Smierć tych dwóch mężów, jest zdarzeniem, o którém niewolno milczyć.

Zbyt ważném było ich życie dla nas przez to, że nie tylko dla nas, ale i dla całej Europy byli epoką: ażebyśmy mogli przemilczyć ich śmierć.

Zdaje nam się; że zbyteczna jest mówić o tem co do Chopina — bo mowa muzyki jest zrozumiałą dla wszystkich narodów, więc Chopina znaczenie w dziejach umnictwa już jest pojęte i uznane u innych narodów.—

Co do Słowackiego może to zdanie, iż jest dla całej Europy, właściwie dla całego oświeconego świata epoką, jednym ze zwrotników nowej w dziejach ery, potrzebuje usprawiedliwienia. Nigdy tego usprawiedliwienia niepotrzebuje dla Polaków, ale dla innych narodów, bo słowo nie tak jest wszystkim przystępne jak dzwiek.

Usprawiedliwiamy nasze zdanie co do Słowackiego tem, że znaczeniem jego poezyi również jak muzyki Chopina — jest wielkość. Każda wielkość zaś podnosi naród, z którego łona wychodzi, do znaczenia dziejowego, i staje się własnością wszystkich narodów i czasów. A piastujący wielkość stają się w swoim zawodzie mistrzami wszystkich narodów i czasów.

Tak Jeremiego żale są również naszemi, jak były własnością rodu Izraela. Tak Homer i Sofokles, Dante i Manzoni, Szekspir i Byron, Goethe i Szyller, Calderon i Cervantes są i powinni być niemniej mistrzami naszej poezyi: jak Mickiewicz, Słowacki i autor Iridiona powinni być uważani za mistrzów nie tylko dla naszych, ale dla poetów wszystkich narodów.

Takie mistrzowskie władanie światem stało się co do Chopina już czynem. Chopina uznano już za twórcę nowej szkoły w muzyce, co do kompozycyi i co do wykonania, w całym świecie muzycznym.

Słowacki musi być za takiego uznany w świecie poezyi, bo znaczeniem jego poezyi jest wielkość objawiająca się w nowych formach.

Słowacki ma tę idealność nowego świata, która we wszystkiém co spotyka, w każdej rzeczy, w każdym czynie, w każdém uczuciu, w każdéj nawet mrzonce swojej własnej wyobraźni szuka myśli; we wszystkiém odczytuje znaczenie; po za wszystkiem, co objawia się, upatruje ducha, działającego wgłębi.

Jestto charakterem poezyi w ogóle; ale dawniejsza poezja czyniła to nieświadomie, nowsza wskazuje nam tego ducha działacza świadomie.

Jednak ta jest różnica między nowszemi poetami, że jedni przyjmują pewne historyczne osoby na przedstawicieli myśli działającej w świecie: inni wpadają w alegorję. Do tych ostatnich należy przedewszystkiem Goethe w 2. cz. Fausta: którą nazwałbym rekapitulacyą alegoryi przeciw klątwie, jaką na nią rzuciła estetyka nowszej filozofii.

Słowacki może gdzie nie gdzie wpadł w tę drugą kategorję, ale wybitną cechą jego poezyi jest, że jego charaktery, przedstawiciele idei — są osoby nowe, same przezeń utworzone. Dla tego wszystkie czyny i mowy jego poetycznych bohaterów noszą na sobie piętno nie minionych, ale i nie istniejących czasów, a zatem wierzyć musimy, że to są osoby przyszłości. W tém spokrewniony mu jest najbardziej Byron.

Nawet historyczne osoby pojmuje Słowacki jako wyobrazicieli jakiegoś życia którego nie było i niema, jako bohaterów przyszłości.

Jestto więc wielkość ta sama, którą dawniej jaśniał Dante, Szekspir, Calderon, to jest: wyprzedzenie czasu swego — i jak oni tak też Słowacki mało jest zrozumiały dla współczesnych, a nawet mało jest ceniących go — więcej ma podziwiaczy niż przyjaciół.

Drugą odznaczającą cechą Słowackiego jest: osobowość; w jego poezyi, duch-działacz nie występuje nigdy, jako ogół; w jego poematach nie wionie myśl, której poemat ma być wyrażeniem, nie walczą zasady (principia), ale występują duchy, duchowe indiwidua, duch osobisty. Tem się różni Słowackiego poezja od nowej poezyi innych narodów. Bliższe wyłuszczenie tych myśli i wykazanie zdania naszego w pojedynczych dziełach Słowackiego zachowujemy sobie na później.

Teraz czuliśmy się zobowiązani otworzyć nasz pogląd na umnictwo nowoczesne wspomnieniem tych dwóch dopiero zgasłych rodaków, i wskazaniem: iż oni stanowią epokę w dziejach nietylko naszego narodu, ale poezji i umnictwa w ogóle.

Słowo
o duchu obecnym literatury w Europie.

(Podług Revue des deux mondes.)

Żyjemy w epoce przepełnionej smutnemi widokami, żaden jednak nie wzbudza więcej bolesnego uczucia, jak widok otrętwienia umysłowego, pojawiający się coraz mocniej w świecie literackim.

Zkąd pochodzi jednak to głębokie otrętwienie?— ta nadzwyczajna bezwładność?— co za przyczyny paraliżują to życie umysłowe?— tę samodzielność pojedynczych osób?— jestże to skutkiem zestarzałej cywilizacyi europejskiej — lub nowego kierunku umysłowego narodów?—

Może czas pojedyńczych czynów ustał, a jego miejsce ma zastąpić działanie mas; lecz w dawnych czasach masy władały, a jeniusz pojedyńczy nie przestawał postępować naprzód.— Huk dział nie zdołał przytłumić głosu poety lub rozpamiętywań mędrca. — Wstrząśnienia socyalne— teorye komunistów, wpłynąć niemogą ani na wzrost ani na upadek sztuk pięknych i poezyi.

Przypuściwszy bowiem potęgę komunistyczną, może ona zburzyć obecne społeczeństwo, popustoszyć miasta, powywracać gmachy, nigdy jednak zniszczyć niepotrafi tej wiecznej piękności natury, ani też osłabić twórczości artystycznej.

Widać że niepłodność dzisiejsza ma inne przyczyny, może kto powie że obyczaje teraźniejszego społeczeństwa stały się gminne,— życie jego prozaiczne — tak prozaiczne! — bo go wcale niepojmujemy; wypadki spółczesne są dla przyszłych poetów przedmiotem tysiąca śpiewów bohaterskich i innych. —

Rozważając stan dzisiejszej Europy — te wypadki rewolucyjne — te wielkie nieszczęścia narodów — te gwałtowne namiętności,— czy się zapytano zkąd pochodzi że wpośród tych konwulsyi nic się nie wyradza — nie pojawia się żaden wielki umysł? — Dla czego najpiękniejsze płody umysłu ludzkiego — poezya, sztuki piękne, zostają w stanie obumarłym?—

Naszem zdaniem główną przyczyną niepłodności literackiej — jest wpływ ducha rewolucyjnego. —

Nie chcemy tu mówić, że barykady, huk strzałów, trąbki wojennej — bębna, — rozprawy sejmowe ogłuszające zmysły — odurzające umysł, są tego przyczyną, lecz obecny duch rewolucyjny, duch powstań, wpływa niekorzystnie dla literatury na umysły narodów — wpływa tak silnie jak najstraszniejszy despotyzm.—

Literatura — poezya — sztuki — są rzeczy piękności — harmonii — postępu — gdy tymczasem duch rewolucyjny jest strasznym pustoszycielem! — jego postęp — niszczyć wszystko, jego piękność — to ruiny, jego harmonia — to krzyki tryumfu — szaleństwa — wściekłości! — łatwo pojąć że jeźli duch taki opanuje umysły mas, to nic dziwnego że stłumi zupełnie zdania moralne i prawdziwą cześć piękności a zarazem osłabi tworczość poetów i artystów.—

Rewolucye — wojny domowe — zamieszania krajowe, są to rzeczy stare jak świat, duch zaś rewolucyjny jest utwor nowoczesny — datujący się mniej więcej od lat 60.—

Z rewolucyi i wojen — jakież skutki? — oto kilka głów mniej, a jedna karta w historyi więcej; — lecz poświęcenie tych głów użyte korzystnie dla polepszenia praw spółeczeńskich — oto rzecz całkiem nowa.

Z wojny cóż nam pozostaje?— oto nagromadzone kupy ruin na ruiny — szczątki jedne na drugie — rozrzucone tu i owdzie kamienie — które strojna przyroda ozdobi mchem — a na szczątki rzuci kilka wieńców bluszczu — w pośród rozwalin i ruin wyrośnie pokrzywa — kilka roślin szkodliwych — kilka ziół jadowitych;— oto cała piękność obrazu jaka jest do spodziewania.— Na ten widok umysł się ugina — wyradza opinje przewrotne — a będąc rewolucyjnym nie może znaleść w sobie ani harmonji, ani porządku ani pokoju, ani zgody.—

Taki duch rewolucyjny jest nauczający dla tego, który umie na świat poglądać. — Opanował on teraz wszystkie umysły — u wszystkich ludzi naszego czasu powstał zapał do wstrząśnienia obecnego stanu rzeczy—z tąd też powstało że w społeczeństwach które postradały już swoją tradycję— a zatem życie ich zgasło — pojawia *się* tradycja rewolucyjna — tradycja ustna w łonie mas, która w najwykształceńszych umysłach znajduje swych historyków — swych filozofów — swych teoretyków — swych poetów, a nawet— o zgrozo! — swych konserwatystów!

Jest jeszcze druga przyczyna tej niepłodności literackiej; a tą jest interes osobisty — duch przemysłowości! ogarniający wszystkie umysły.

Świat dzisiejszy stał się placem boju osobistego interessu; — ludzie pracują jedynie aby sobie własność wydrzeć lub przywłaszczyć — aby się dobrze żywić — wybornie odziewać — wygodnie mieszkać — jeszcze wygodniej spać.— Najwięcej marzą o majątkach, o chwale światowej — o rozkoszach. — Starają się o nabycie ogromnej chwały w oczach sobie podobnych, przez odważne poświęcenie się osobistemu interesowi. — Wszyscy w ogóle ubiegają się za bogactwami — za szczęściem — za uciechami — za zbytkami. —

Wpośród tej gorączkowej czynności, czemże być mogą poezja — sztuki piękne — i wszelkie szlachetne czynności umysłu ludzkiego? Wśród tego niezliczonego tłumu, wśród tego wiru gdzie ludzie ślepo się popychają interesem własnym — czemże być mogą wyobrażenia umysłowe?— usposobienia narodu? Najwznioślejsze umysły tego czasu, oprzeć się niemogą tej ogólnej dążności. —

Skoro więc ustąpi duch rewolucyjny — skoro miejsce interesu zastąpi chęć dobra ogólnego — braterstwo — spodziewać się można iż zajaśnieje lepsza epoka umysłowości,— która powróci życiu ludzkiemu — wdzięk i harmonją — i odświeży źrodło myśli dla literatury.— Miejmy tylko nadzieję że chmury nagromadzone nad naszemi głowami— zakrywają światło pełne blasku i piękności! *przyświecać mające postępowi na przyszłość!*

J. Osiecki.

TEATR.

Grudzień 1849.

W tym miesiącu przedstawiono kilka sztuk nowych na naszej scenie z tych jedynie:

Uriel Akosta tragedyja w 5. aktach przez Gutzkowa napisana, przez Mikołaja Antoniewicza z niemieckiego na polskie przełożona, która po zagranicznych teatrach z tak wielkim zapałem przyjmowana była, warta jest dłuższego zastanowienia.

Uriel Akosta (p. Smochowski) Portugalczyk żydowskiej wiary uciekłszy w XVII. wieku przed świętą inkwizycją do Niderlandów, poświęca się naukom w Amsterdamie pod przewodnictwem lekarza Sylwy (p. Nowakowski) poznając tegóż siostrzenicę Judytę (p. Aszperger), i wydaje naukowe dzieło sprzeczne z zasadami wiary żydowskiej. Zgorszeni kapłani synagogi sądzą to dzieło i potępiają je wraz z autorem, który gotuje się do walki przeciwko przesądom religijnym mówiąc:

».... Z duchem walkę dziś poczęto
A tej Akosta śmiele czoło stawia!
Bo kto wyznawać pragnie prawdę świętą
Ten się i walki o nią nieobawia.«

Ojciec Judyty, Manasse (p. Rudkiewicz) wyprawia ucztę na cześć przybycia narzeczonego swej córki bogacza Ben Johaja (p. Rejmers). Wśród zabawy nagle muzyka zamiera, słychać zdala rogów chrapliwe tony, ukazują się uroczyście kapłani i ciskają straszliwą klątwę na Uriela i wszystkich, którzy z nim przestawać będą. Kiedy go wszyscy opuszczają, Judyta rzuca mu się na piersi, jawnie wyznając miłość. Manasse czuły ojciec daje mu w domu swoim schronienie, i skłania się do oddania mu córki w małżeństwo, co jednak, dopóki klątwa na nim cięży jest niepodobnem. Klątwę obiecują zdjąć kapłani, jeżeli Uriel pokutując odwoła swoją naukę, ale Uriel nieporuszony mówi:

Niechaj i tysiąc godzi we mnie ciosów,
Uczutą prawdę wiecznie będę czuć!
Kto się z niebiańskiej raz upoił czary,
Światła nieczerpie z pochodni i świec;
Jeżelim zbłądził, tom zbłądził dla wiary,
Ale kapłanom nieodwołam nic.

Na prośby braci, matki i kochanki, Uriel idzie do synagogi, gdzie po wycierpianem ciężkiem więzieniu przed ludem hańbiące go odwołanie czyta, poczem mdlejącego kapłani do bram bóżnicy prowadzą. Tam za pokutę ma lud deptać po nim, mściwy rywal Ben Johaj pierwszy nań podnosi nogę; wtedy zrywa się Uriel, z wściekłością wpada na scenę, hańbi kapłanów a przychodząc do siebie woła przed ludem:

»Rozwiń się w słowo
Myśli gnieciona
Ciemnią grobową!
Powstań z twej trumny
Siłą Samsona
. . . .
. . . .
Duchem silni, myślą wolni,
Chcemy złamać jarzmo stare;
A jeźliśmy nieudolni,
Lepszą sobie znaleść wiarę,
To wśród trudnej badań drogi
Lepiej szukać nowe bogi,
Niż przekleństwem wielbić stare.«

Sylwa stary, niegdyś wielki obrońca kapłanów, widząc ich postępowanie z Urielem teraz wyznaje: *»Upadku wiary kapłani przyczyną!!!«*

Uriel wyszedłszy z więzienia już niezastaje ukochanej matki między żyjącemi, a kochankę widzi idącą do ślubu z Ben Johajem który tylko pod tym warunkiem ojca jej od bankructwa ratować przyrzeka. Po ślubie truje się Judyta i na rękach Uriela kona, Uriel zaś przed śmiercią swoją samobójczą lepszą przepowiada przyszłość:

»Kiedyś te wieki może zajaśnieją,
Że ni po grecku, ani po łacinie,
Ni po hebrajsku, lecz ducha językiem
Co dziś tak słabym wytryska promykiem
Prawda jak morze światem się rozpłynie.«

odchodzi, słychać strzał, wtenczas kapłani tryumfując wołają: »kościół zwyciężył! dwie ofiary padło.«

(Dokończenie nastąpi.)

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej A. B. Winiarza we Lwowie, przy ulicy krakowskiej p. l. 77.